ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. Maja. № 19. Roku 1855.

RYCERZ GUMPRECHT.

(Obrazek szlązki z XVI stólecia)

przez **G. C.**

Świeże, chłodne i wilgotne jeszcze z nocnéj kąpieli promienie wschodzącego słońca, ozłacały rozległą, żółtą równinę, wśród któréj w pewném oddaleniu czerniało miasto Bytom, otoczone do koła głęboką fosą i obronnym wieżycami nasadzonym murem. Drogą ku Gliwickiéj bramie wiodącą zbliżał się zwolna orszak złożony z kilkunastu zbrojnych jeźdzców i kilkunastu ciężko objuczonych koni, a na czele orszaku jechał rycerz dzielnéj postawy. Młoda jeszcze twarz jego świeciła czerstwém zdrowiem i jakimś miłym, poczciwym wyrazem, — czarne oczy śmiało i wesoło patrzały przed siebie, a gęsty ciemny wąs, podnosił jeszcze męzką rycerza urodę.

— „Otwieraj!“ krzyknął dowódzca zbliżywszy się pod samą bramę.

— „A kto tam?“ ozwał się po chwili jakiś głos rozstrojony, jakby z głębi wieży wychodzący.

— „Gumprecht z Kochlowic!“ odparł rycerz niecierpliwie, i z natarczywością powtórzył „otwieraj!“

Niebawem ukazał się téż rozespany wartownik u kraty, podniósł ją za pomocą umyślnéj do tego maszyneryi i wybrawszy po długiéj rozwadze jeden klucz z ogromnego pęku, zwolna nim bramę otworzył.

— „Bogu bądź chwała, że nareszcie już tutaj jesteśmy!“ zawołał Gumprecht w bramę wjechawszy. — „Niespodziewałem się tak na sucho wyjść z téj przeprawy.“

Na rynku, przed wielką narożną kamienicą zatrzymał się cały orszak, a dowódzca silnie do drzwi zapukał; gdy jednakże znak ten pozostał bez skutku, rycerz chwycił róg wiszący mu u pasa, i zadął na nim nutę krakowiaka. Nieskończył jeszcze pierwszéj nawet zwrotki, gdy w zakratowaném oknie ukazała się śliczna blond główka, i milcząc przyjaźnie pozdrowiła przybysza. Gumprecht puścił róg, i wpatrzywszy się z zachwyceniem w miłe zjawisko, nieuważał nawet, że już od chwili brama stała otworem, a właściciel domu pan Benedykt Kneflikowski, rajca Bytomski, i jedyny

tamtejszy kupiec, słodkiemi pozdrawiał go słowy.

„A — Mości Gumprechcie! — dzielny rycerz z Waszmości, kiedyś mi moje towary, tak ślicznie, pięknie, nienaruszone przystawił na miejsce. Widzę, iż słusznie miała moja Matylda, kiedy mi radziła, abym Waszmości poprosił, iżbyś karawanę moję z Wrocławia aż tutaj raczył z ludźmi swymi eskortować. Chodźmyż na górę, to się obliczymy. Tylko proszę, na drugi raz nie rób Waszmość z łaski swojéj tyle hałasu, bo to tylko zazdrość budzi w moich szanownych sąsiadach. Patrz, jak już ze wszystkich okien na nas kukają, choć to dopiéro 4 godzina. Pójdź oto Waszmość ze mną, bo spodziewam się, że po takiéj podróży nie wzgardzisz skromném śniadankiem. — A wy, rzekł obracając się do sług, wjedźcie na podwórze, żeby się jak najprędzéj z tém wszystkiém uprzątnąć można!“

Ostatnia część téj długiéj przemowy była dla zacnego Rajcy największéj wagi, obawiał się bowiem pojawienia się Burgrabiego, który mieszkał na zamku, i miał prawo wybierania cła od pewnych towarów. Wypadało więc takowe czémprędzéj na stronę usunąć. Kupiec zatem, odprowadziwszy rycerza do izby, przywołał jedynaczki swéj Matyldy, aby go zabawiała, i miała o nim staranie, a sam zbiegł na dół. Z miłą chęcią posłuszna była Matylda rozkazowi ojca, bo młody Gumprecht oddawna już nie był jéj obojętny.

Od chwili, gdy książę Jan na Opolu przed rokiem blisko Bytom nawiedził, i przy téj sposobności Gumprechta Kochlowskiego na rycerza pasował, porozumiały się ich oczy i serca. Gumprecht osiadł w dziedzicznym zamku swoim na Kochlowicy, odmawiał stale licznym zaproszeniom księcia, który go na dwór swój wzywał, — starał się różnemi sposobami przypodobać mieszkańcom Bytomia, i obyczajem ówczesnym podejmował się eskortowania pieprzu, żelaza, sukna, aksamitu i innych towarów, które od napadów pospolitych rabusiów, i rozbojem bawiącego się rycerstwa trzeba było zasłaniać. Zatrudnienie tego rodzaju było wielką zasługą w obec publicznego bezpieczeństwa, dla tego téż panujący rycerzy takich w wielkiém mieli zachowaniu — ale za to inni panowie, którzy łupiestwa nie mieli sobie za skrupuł, nienawidzili ich i ścigali gdzie mogli.

Gumprecht wiedział o tém wszystkiém bardzo dobrze, ale cóż było robić, kiedy niewidział innego środka zbliżenia się do ubóstwianéj Matyldy. Rajca Kneflikowski był to kupiec z duszą i ciałem; nienawidził szlachty, że sam do niéj nienależał; przytém chciwość, niepomiarkowana żądza zysków, próżność a zarazem szczére przywiązanie do córki, dziwnie mięszały się w jego umyśle, i czyniły go tak zmiennym i kapryśnym w obejściu z ludźmi, iż rzadko kto zgodzić się z nim potrafił.

Gumprecht był ubogi; — bo oprócz na poły rozwalonego zameczku, kilku chat i szmaty lasu, nic nie miał przy duszy, a w śpiżarni jego rzadko kiedy mysz pożywić się mogła. Zresztą zameczek ten

wyglądał raczéj na jaskinią zbójecką, niż na mieszkanie rycerza. — W pośród bagna, przez które prowadziła ścieżka miejscowym tylko znana i przystępna, stała wieża do połowy zmurowana z kamienia, — od góry dobudowana drzewem. Stajnie były drewniane i stały w ostatniéj ruinie, gdyż konie Gumprechta gdzieindziéj się mieściły; — od czasu albowiem jak mostu zwodzonego niestało. trudno je było przez wąziuchną ścieżkę wśród bagniska przeprowadzać. Stały one w jaskini leżącéj zaraz na brzegu lasu w ciemnéj gęstwinie. Jaskinię tę ochrzczono *djabelską pieczarą*. bo kiedy ją chciano rozszerzyć, natrafiono na pokłady węgla kamiennego, który, nieznając jeszcze jego użytku, dla czarnéj barwy *piekielnym kamieniem* naówczas zwano.

Gumprecht cały czas wolny od zatrudnień przepędzał w lesie. W zamczysku mieszkał tylko powiernik jego z żoną, i ci strzegli całego dobytku swojego pana. składającego się z kilku rycerskich rynsztunków, parę świątecznych strojów, pary złotych ostróg, i ze złotego łańcucha, który ojciec rycerza otrzymał był niegdyś od króla czeskiego Jerzego Podjebrada.

Nieśmiały i smutny stał Gumprecht przed córką rajcy, — a ona przyjaźnie pochyliła się ku niemu, i pocieszała go, prosząc żeby nie tracił nadziei. Rycerz pochwycił jéj ręce, okrył je pocałunkami i wieczną przysięgał jéj miłość. Oświadczenia te nie miały oczywiście końca, tak, że stary cichaczem wróciwszy do izby połowę ich przynajmniéj mógł wysłuchać. Zmarszczył więc czoło, ale wkrótce je wypogodził, bo duch kupiecki w nim przemógł, i myślał już tylko, jakby tu serdecznych intencyi Gumprechta użyć na swoją korzyść, a jednak żadném nie związać się słowem.

— „He, he! mój młody rycerzu, zawczasu jeszcze, zawczasu! — mówił uśmiechając się niby żartobliwie; — trzeba się wprzód jakoś dorobić czego, na łańcuch honorowy zasłużyć, a dopiéro pogadamy o Matyldzie. Ot lepiéj powiedz nam Waszmość co tam nowego w Wrocławiu — czy można już tamtędy bez przeszkody prowadzić towary do Polski — czy Wrocławianie skończyli już sprawę z księciem Bartłomiejem z Minsterbergu, o owe sto grzywien srebra, których mu wypłacić nie chcieli.... a co też słychać o sławnym *Krzysztofie Czarnym* — niech go tam....“

— Co do tego ostatniego, mogę was upewnić, że żyje zdrów, zawsze jednako się bawi, bo właśnie miałem z nim w drodze do czynienia. Było to o milę od Wrocławia. Jechałem spokojnie na czele mego orszaku, niespodziewając się niczego, gdy w tém nagle wypadł na mnie z boku rycerz czarno uzbrojony i kopiją silnie w mój szyszak ugodził. — Zeskoczyłem natychmiast z konia, — on uczynił toż samo, i nierzekłszy do siebie ani słowa, poczęliśmy walczyć pieszo. Żaden z naszych towarzyszy nieśmiał nam przeszkadzać. Walka trwała już ze trzy kwadranse, gdy wierny mój giermek Marcin zawołał: „Panie Gumprechcie Kochlowski, otaczają nas!“ — Wtedy zatrzymał się *Krzysztof Czarny*

i podał mi rękę: „Żyłem z twoim ojcem w przyjaźni, jedź więc daléj w pokoju — ale towary moje.“ — „Niedostaniesz ich, pókim żywy, zawołałem na to, — ręczyłem honorem za ich całość — a honor wyżéj cenię niż życie!“ — a widząc przemagającą siłę, myślałem że już przyjdzie nałożyć głową, gdy w tém niespodzianie zagadnął mię Krzysztof: „Umiesz ty pisać?..“ — „Umiem,“ odrzekłem. — „Zatemperuj mi pióro.“ — Uczyniłem czego żądał, bom się tego u mnichów w *Rauden* wyuczył, i niebawem z wielkiém mojém podziwieniem, ujźrzałem jak rozbójnicy spokojnie ruszyli w swoję stronę, niezaczepiając nas więcéj, choć ich było przynajmniéj 30, a ja ledwie 10 ludzi miałem ze sobą.—

Kupiec z wyśmienicie udaną serdecznością objął za szyję i uściskał rycerza — nabąknął mu coś o bliższych związkach, niemówiąc jednak nic wyraźnie, i chciał się z nim obrachować. Upojony radością i nadzieją przyszłego szczęścia Gumprecht, ani słyszéć o tém niechciał, co niezmiernie spodobało się panu Rajcy. Zaprosił go więc nader uprzejmie do śniadania, i sam pobiegł do piwnicy po najlepszy miód i wino węgierskie. Tymczasem téż Matylda zastawiła piwną polewkę, głowiznę z dzika, i wyborny comber sarni pieczony. Wśród tego zajęcia upadł jéj pierścionek, który natychmiast rycerz podjął, i już oddać nie myślał. Czyli to był prosty przypadek, czyli sztuka kokieteryi istniała naówczas, niech piękne czytelniczki rozsądzą; — to tylko pewna, że uszczęśliwiony posiadaniem takiego klejnotu rycerz, uczuł się w siódmém niebie, i postanowił zaraz nieodzownie, za piérwszą bytnością w Gliwicach obstalować parę pierścionków do zaręczyn. Jednakże przedsięwzięcie to, jakkolwiek stałe, umiał zniweczyć pan Kneflikowski, bo zbyteczne zbliżenie się dwojga młodych ludzi nie było mu po myśli; chciał on tylko córki swojéj używać jako środka do ciągnienia korzyści z zakochanego Gumprechta.

— „A czy wiesz Waszmość Mości rycerzu, że my z czasem dostaniem się pod panowanie Brandeburczyka?.. Bezdzietni książęta Jan na Opolu i Walenty na Raciborzu zawarli z Jerzym Brandeburgskim ugodę na przeżycie familijne.... Czy nic o tém w stolicy nie słychać?..“

— Owszem wiem o tém dobrze i już dosyć dawno, odrzekł Gumprecht, bo jeszcze przed rokiem książę Jan na Opolu, oddając mi w lenność włość, którą posiadam, w pismie swojém uczynił wzmiankę, że winienem hołd Raciborskim i Brandeburgskim książętom, jeżeli go odemnie zażądają. — Widziałem téż w Wrocławiu i samego króla *Bene* jak mu książęta, panowie i wysłannicy miast hołd składali. Wtedy to podpisał on także i ten układ ze szkodą własnéj korony. Widziałem jak dzieci królewskie jeździły w sankach, w których był piec urządzony, aby nie zmarzły — i mnóstwo innych zabaw i festynów. — W czasie turnieju, o mało do wielkiego nieszczęścia nie przyszło. Starosta Jakób Salza, obciął był jakiemuś znakomitemu Węgrowi rękę aż po ramię. Rozsierdzone Węgry

rzucili się na niego — wywlekli go z kościoła Ś. Elżbiety, gdzie się schronił przed nimi, i byliby pewnie rozsiekali, gdyby go niebył wziął w obronę Hans z Rechenbergu, a on sam nie był oświadczył, że zakonną suknią oblecze. — Właśnie w sam raz zjawił się tam był także naówczas skoczek na linie. Przeciągnął linę od wieży kościoła Ś. Elżbiety do wieży ratusznéj, i chodził po niéj w drewnianych trzewikach i na szczudłach....

— „I takie djabelskie sztuki i czary cierpią w Wrocławiu! A duchowieństwo, to wypędzają! *O tempora! o mores!*" — z miną świętoszka zawołał Kneflikowski.

W tém Matylda poprosiła do śniadania i obydwaj panowie zaczęli smacznie zajadać. Ledwie skończyli, gdy dał się słyszéć dzwonek wzywający na prymaryą, i młoda kupcówna otrzymawszy pozwolenie ojca wybrała się do kościoła. Gumprecht ofiarował się jéj towarzyszyć, — ale odmówiła mu grzecznie, i pożegnawszy go odeszła. Rycerz więc kazał ludziom swoim, aby go czekali u krakowskiéj bramy, a sam chciał iść do kościoła, żeby jeszcze raz ujźrzéć Matyldę i swoją modlitwą z jéj modłami połączyć, gdy w tém zaszedł mu drogę kasztelan książęcy pan Leonard Lassowski i rozmawiać z nim zaczął. Na domiar nieszczęścia wmięszał się niebawem do rozmowy i Kneflikowski, który w wyszukanych i wyrachowanych słowach oznajmił Lassowskiemu, że otrzymał właśnie świéży transport towarów, między któremi jednakże niemasz wcale zakazanych, jak o tém czcigodny rycerz Gumprecht zaświadczyć może. Gumprecht niewiedział co na to powiedziéć, i chcąc rozmowę na inny przedmiot skierować, zaprosił obu panów na polowanie do swojéj kniei, co oni przyjęli chętnie, — i pożegnawszy ich pobiegł nareszcie do kościoła. Przyszedł właśnie pod koniec mszy, ale nigdzie ulubionéj swéj dopatrzyć nie mógł, bo Matylda obok zakrystyi, w ukryciu, na grobie swéj matki klęczała.

Zawiedziony w swéj nadziei rycerz pośpieszył do krakowskiéj bramy, która w potrójny załamana gzygzak, opatrzona była u wierzchu obronną wieżą, — i siadłszy na koń, udał się na czele swego orszaku drogą ku Krakowu wiodącą. Droga ta była naówczas nader przykra, wązka jak nasze dzisiejsze polne drozyny, i jedynie do konnéj podróży sposobna. Przy folwarku *Maciejkowicach* obrócili się jeźdzcy na prawo, i minąwszy *Chorzów*, który już naówczas był wsią z kościołem, wjechali w gęsty bór, wśród którego samotnie stał książęcy dom myśliwski *Hajduk* nazwany. W tém miejscu dawszy nieco wytchnąć koniom, przebierali się daléj przez lasy i bagna do *djabelskiéj pieczary*.

Przybywszy do domu, doznał dopiéro Gumprecht niemiłych skutków swéj wspaniałomyślności; bo towarzysze jego zażądali należnego im żołdu, a biedny rycerz całego majątku miał zaledwie kilka sztuk lichéj monety, którą naówczas z niemiecka *Wipper-*, albo *Kipper-groszami* nazywano. Kazał więc ludziom do jutra zaczekać, a sam smutny poszedł do zameczku, wziął ów złoty łańcuch spuściznę po ojcu, i niebawiąc, w towarzy-

stwie wiernego giermka Marcina, dziką ścieżką leśną pojechał do Gliwic. Stanąwszy w mieście sprzedał część łańcucha, kupił parę pierścionków, a resztę pieniędzy schowawszy na zapłatę ludziom, z lżejszém sercem wracał do *Kochlowic.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

INSTYNKT WĘDROWNY U ZWIERZĄT.

Instynkt wędrowny wspólny jest wielu rodzajom zwierząt, tak tym co przebywają na lądzie, jak i żyjącym w wodzie. Najwięcéj znajome są wędrówki ptactwa, oznaczające z dość ścisłą dokładnością zmiane pory roku i temperatury.

W ogóle łączy się instynkt wędrowny z instynktem wyżywienia się, i prawie zawsze odbywają się te wędrówki zborem, a nawet i u tych zwierząt, które stanąwszy u kresu swéj wędrówki rozchodzą się i żyją z osobna.

Małpy wędrują częstokroć tłumnie, i przebywają ogromne lasy rzucając się z jednego drzewa na drugie. Nie raz tłumy ich są tak gęste, że spotkanie się z niemi zagraża niebezpieczeństwem życia. Wędrówka ich nie zależy od pory roku, lecz raczéj od potrzeby szukania żywności, i dla tego téż małpy ruszają daléj dopiéro wtenczas, kiedy im już na miejscu zabrakło żywności.

W krajach gorących znajduje się rodzaj mrówek wędrownych ciągnących w masie niezmiernéj. Tak się licznie zbierają, że zaścielają sobą pola i błonia którędy przeciągają, jak daleko tylko oko sięga, a wszystkie pola i lasy obgryzują w wędrówce swojéj do szczętu. Tamy dla nich w niczém, ludzie nawet po drodze ustępują im, mieszkańce wynoszą się z domów, którędy szła droga mrówkom, bo nie znaleść schowku przed niemi, ani ochrony, pełno ich w każdym kącie. Pełno ich na dachu, po strychach, w piwnicy i kuchni, i bawią tak długo, aż instynkt znagli ich do dalszéj wędrówki; i co większa ludzie im błogosławią, bo oczyścili dom zupełnie ze szczurów, myszy, molów i z innego owadu, i ztąd téż radzi im są mieszkańce Indyi wschodnich.

Wędrówki ryb należą do zjawisk zwykłych i najwięcéj znajomych, a których wyglądają tysiące ludzi z niecierpliwością, jedni że z nich żyją, drudzy że niemi się żywią. Śledzie naprzykład napływają milionami z nieznanych stron morza baltyckiego i północnego, i przychodzą tak regularnie, jak pora roku za porą, albo jak godzina piérwsza za dwunastą.

Powszechnie zaś znane są wędrówki ptactwa. Mało komu przypadło nie widzieć olbrzymie ich wędrówki, i nie uważać porządku w jakim odlatują, nikt téż nie zaprze zadziwiającego składu i osobliwszego trybu, jaki każdemu z osobna rodzajowi ich jest właściwy. Jakoż statecznie rok za rokiem spostrzegamy tak dziwne w tym względzie zjawiska, że ani pojąć możemy bodła, które to ptactwo popędza, ani instynktu który niém powoduje. Jaskółki, żórawie i bociany, przepiórki i drozdy odlatują zawsze o pewnym czasie i klinem w sposób sobie właściwy. Pliszki ciągną sznurem długim jedna za drugą, dzikie gęsi zaś i kaczki kluczem, jaskółki odlatują frontem szerokim i gęstym, a szpaki hurmą niesforną i lotem trzepoczącym.

Wszystkie bez wyjątku ptactwo odlatuje z północy na południe. Popęd do okolic cieplejszych, gdzie dla mnogości owadu i owoców łatwiéj téż o żywność, może im być już wrodzony, i za tchnieniem wiatrów pory zimniejszéj, suną za ich powodem. Z tém wszystkiem nie można to nazwać świadoma

przezornością, owszem być to się zdaje instynkt ślepy okazujący się i u ptaków trzymanych w izbie, gdzie nie doznawały ani chłodu ni głodu. Jakoż nawet u ptaków wychowanych z jajka, i które nigdy nie odbywały wędrówki społecznéj, dostrzegano niepokój o tym czasie, kiedy ptactwo z ich rodzaju wybierało się na wędrówkę, i puszczone na wolność, łączyły się w podróż ze swojemi natychmiast.

Polot ptaków wędrownych jest niezmiernie szybki, i ciągną nadzwyczaj wielkiemi stadami. Bociany robią podczas swéj wędrówki 30 mil na godzinę; stada ich przy tém są częstokroć tak wielkie, że mimo tak prędkiego lotu widać je przez trzy i więcéj godzin, a nadto nie lecą bociany cienkim sznurem, lecz dość szerokim i ścieśnionym frontem. Bociany i tém się jeszcze odszczególniają, że nie wędrują przez cały rok z miejsca na miejsce jak inne ptactwo wędrowne, lecz że obierają sobie dwa stałe i zawsze te same mieszkania: jedno na północy u nas, a drugie w stronach południowych na wybrzeżach egipskich. Ciągną też regularnie z jednego miejsca pobytu na drugie, i nie zbaczając nigdy goszczą cały czas swój na jedném miejscu.

Bocian ma jeszcze i tę właściwość, że wraca zawsze na przeszłoroczne gniazdo swoje, odnawia, co się zepsnło i znów zamieszkuje. Założywszy raz już swe gniazdo czy to na stodole, na drzewie wysokiém lub na dachu pomieszkania włościańskiego, powraca w przytułek swój corocznie z Afryki — z odległości mil tysiąca, zwiedziwszy wprzód tysiące włości i kilka ich tysięcy po obu stronach pozostawiając, przybywa bez ochyby nie myląc się nigdy prosto na miejsce dawniejsze, i jak gdyby przerwy nie było, rozgospodarza się jak dawniéj.

Najlepszy nawet geograf świata, opatrzony najdokładniejszą mapą, nie zdołałby z taką pewnością ugodzić na miejsce oznaczone bez pomocy narzędzi astronomicznych. Żeglarz chcąc się dobrze zwinąć na morzu, musi uciekać się do kompasów, do astrolabów, a z niemi jeszcze chybić może o kilka mil; a ptak wędrowny przecina powietrze lotem strzały, przebywa morza wzburzone, wzlatuje ponad obłoki, które mu nawet widok ziemi odejmują, i przy tém wszystkiém bez oględu i rachuby zawinie wprost do gniazda, gdzie przed pół rokiem miał swój przytułek!

To władza instynktu, władza niepojęta i tém dziwniejsza, że nie zostaje w żadnéj bezpośredniéj styczności ani z utrzymaniem rodzaju tego ptactwa, ani się przyczynia do łatwiejszego wyżywienia swego. Popęd trzymania się przez całe życie raz założonego gniazda, i uważania za nietykalną własność swoją mimo tyle łatwości gnieżdżenia się gdzieindziéj, przepowiada w nich pojęcie jakowegoś prawa własności, uczucie wyższego składu społy uświęconéj jak się zdaje świętém prawem przyrody. Nader tylko rzadko wdziera się bocian do gniazda cudzego, i zapewne wtenczas dopiéro, kiedy własne postradał albo mu kto zburzył. W takim przypadku stawia się prawy właściciel srogo, wszczyna się zacięta walka między bocianami o posiadanie, i kończy zwykle abo ucieczką pasiżyty, abo śmiercią jednego z walczących. Nigdy jeszcze nie było wypadku, by prawy właściciel uchodził i swego gniazda odbieżał chociazby przed silniejszym nawet przeciwnikiem, i raczéj polegnie w walce, niżby miał prawa swego ustąpić. Wdzierca zaś że nie ma tego uczucia pewności i słuszności za sobą, dla tego ustępuje, gdy widzi przewagę sił prawego właściciela.

O jednéj jeszcze szczególnéj właściwości bocianów przemilczéć nie można, chociaż nikt ją sobie należycie wytłumaczyć nie zdoła.

Pod zimę, przed rozpoczęciem wędrówki zbierają się wszystkie z okolicy bociany w stada i tworzą zwykle na błoniu koło ogromne, w środku którego zamykają jednego, a czasem i dwóch bocianów. Po długiém klekotaniu nad nimi opadają ich tłumnie i zadzió-

bują na śmierć, poczem wzbijają się w powietrze i rozpoczynają dalszą wędrówkę. — Nazywają to „dniem sądnym," upatrując w tém rodzaj roków sądowych na przestępnych bocianów. Kto to wiedzieć może? Trzeba by mieć rozum bociani. Ale prawdopodobniéj jest, że tym sposobem pozbywają się bocianów słabych, któreby i tak podczas wędrówki zginąć musiały. Zresztą dziwny-to postępek bocianów, i podobnego mu nie znajdzie u żadnego ptactwa innego ani u zwierząt.

Instynkt powrotu do miejsc i gniazd dawniejszych wspólny jest wielu rodzajom ptactwa, a między innemi także i jaskółkom. Badacz przyrody Spallanzani, widział jedną i tę samą parę jaskółek powracającą przez lat ośmnaście wciąż do dawnego gniazda.

(Dokończenie nastąpi).

Osobliwości rzemieślników indyjskich.

Co kraj to obyczaj! Nasi kowale pracują stojąc; indyjski siada na ziemię; myślał by kto że wygódki szuka, lecz to, że jemu noga za rękę służy. Noga trzyma kleszcze ślusarzowi, a ręce wolne obrabiają i piłują żelazo. Palce u nóg tak mają wprawne jak my rękę, chwytają niemi co im się podoba, podnoszą, sprawiają się zgrabnie, i słusznie dla tego Indyanin zdobi je pierścieniami i boso chodzi. Nasi ślusarze mają śrubstaki; rozum europejski wzniosł się, prawda! za to u nas nogi spodlały.

Zastanawia istotnie jakim sposobem mógł rękodzielnik indyjski tyle wielkich dzieł nawytwarzać przy takiéj niedołężności narzędzi; może to ztąd, że nie instrument rzeczy robi, ale uwaga i wytrwałość. O przyśpieszenie dzieła, ani o czasu oszczędzenie nic nie chodzi; dzieło rośnie mu wprawdzie zwolna, ale zdaje się jak gdyby nabywało ztąd trwałości, że szło zpod ręki pomału.

Mularz indyjski używa kielni nie większéj jak łyżka nasza, a młotka przytém jak do zabawki; dwie kobiét przy nim, jak gdyby czuwały nad jego dziełem, jedna poddaje cegły, druga podsuwa wapno na krążku, on między niemi przyczukł; zdaleka myślałby kto, że ci ludzie z pustoty bawią się w mularza; a przecie stoją gmachy, pagody, świątynie, osobliwością świat zadziwiające, co większa, przetrwały wieki, i dziś chociaż w wielu miejscach poopuszczane, ani się walą ani kruszą nawet. Ale-to bardzo naturalna, kiedy sześcioro ocz patrzało na jedną cegłę ustawianą: mularz jeden i dwie bab koło niego.

Anglicy myśleli, że Indyanin się ciężaru boi, a przecież Indyanin wszystko dźwiga, nic nie wlecze ani pcha przed sobą; wlec i pchać ciężary jest ułatwienie, jest niejako domysł, niejako postęp cywilizacyi. My w świecie cywilizowanym wszystko lub pchamy przed sobą, lub za sobą wleczemy; ale Indyanin iż dźwigał, szanuje pracę swoją, i posągi, które powznosił własném ramieniem, święci i drogo ceni, jak nasz chłopek chleb ten na który o pocie czoła pracował.

Budowniczy angielski chciał w Kalkucie zaprowadzić taczki zamiast koszów. Co to go kosztowało! byle się odwrócił, wyrobnicy chwytali taczki na ręce i nieśli z ładunkiem. Jak pchać ciężar, tego nie pojmowali. Nic nie pomogło, że im kazał małe i lekkie posprawiać taczki; lżejsze brali na głowę i nieśli jak kosz.

Rzemieślnicy i fabrykanci angielscy przypisują to niedołęztwu Indyan, chociaż tak nie jest, owszem Indyanin bardzo dobrze umie oceniać wyższość przemysłu Anglika. Przy zaprowadzeniu pierwszéj maszyny parowéj na kolei żelaznéj, przerażone pospólstwo syczeniem, świstem, hukiem i pędem lokomotywu, pierzchało z przestrachu. Lecz wkrótce oswojeni, wyrzekli, nie można lepiéj, oto: w kotle tym siedzi duch angielski; gdy mu dopiekają, zaczyna się srożyć i syczy, potem wyprasza się, piszczy przeraźliwie, a duszony w więzach gore z pragnienia. Dodają mu zatem wody, ażeby w rozpaczy nie rozsadził więzienia swego.

Miara cierpień.

Że cierpienia moralne okropniejsze są niźli cielesne, tak dowiódł minister Szachowi perskiemu. Sprowadził dwoje koźląt do klatki; przed jedném postawił obroku w czarce, ale mu nogi podłamał; drugiemu koźlęciu nastawił także obroku, ale na łańcuchu przed klatką upiął tygrysa. Nazajutrz zastali koźlę o nogach połamanych słabe wprawdzie, ale obrok wyjadło; drugie zaś nietylko nie tknęło jadła, ale i samo nie żyło, strach je zabił.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*